

Wróg mojego wroga

13 listopada 2009

Współpracować można z każdym. Ale nie z każdym warto.

Czy wróg mojego wroga staje się moim przyjacielem, sojusznikiem? W działalności społeczno-politycznej stajemy wobec takiego dylematu bardzo często. Nierzadko w związku z niekorzystną sytuacją. O to, choćby obecnie, gdy trwają rządy neoliberalistów. Oczywiście na PO można się oburzać o to, że minister obiecał swoim kolegom jakiś intratny zapis w ustawie. Są to jednak sprawy drugorzędne. Jasne, że takie sytuacje należy piętnować, choćby w imię dobrego samopoczucia, które daje status obywatela państwa nie będącego republiką bananową. Jednak „afera hazardowa” to tzw. małe miki w porównaniu z wyprzedażą za śmieszne pieniądze publicznych przedsiębiorstw, tym razem już nie „resztówek” ani „komunistycznego skansenu”, lecz firm nowoczesnych i bardzo dochodowych, jak KGHM. „Afera hazardowa” to również nic ważnego w porównaniu z planami demontażu publicznej służby zdrowia, zwanego jej komercjalizacją. Bo ustawę, na mocy której Rysiek, Zdzisiek czy Heniek zarobią nawet wiele milionów, można zmienić za kilka lat. Nikt natomiast tak łatwo nie odzyska kontroli nad sprzedanym KGHM, nie odbuduje stoczni przekształconych w eldorado deweloperów, nikt na powrót nie stworzy publicznej służby zdrowia, jeśli przehandlowana zostanie sieć budowanych przez wiele dekad placówek medycznych.

Stąd też, w takich sytuacjach pojawia się idea, że sprzymierzyć się można choćby z diabłem, byle tylko wraz z nim powstrzymać negatywne zjawiska. Obecnie mowa na przykład o nieformalnym sojuszu – a być może nawet przyszłej koalicji rządowej – PiS i SLD przeciwko poczynaniom „platformersów”. Taki sojusz nie jest całkowicie nierealny, a na pewno byłby mniejszym złem niż trwający liberalny skok na dobro wspólne. Jednak trudno ów scenariusz traktować poważnie w kategoriach innych niż doraźne. Oba ugrupowania nie tylko są zakładnikami

podziałów historycznych, ale także własnych „frakcji”. W przypadku SLD różnej maści kamerdynerów „Gazety Wyborczej” i „salonu”, natomiast w PiS-ie – silnego środowiska konserwatywnych neoliberalów, czyli durnowatych facecików, którzy w kwestii prywatyzacji niczym nie różnią się od PO, a jedynie chcą wolny rynek „wzbogacić” o pomstowanie na gejów, aborcję i wszelkiej maści „bezbożników”. Inna rzecz, że „zdolność koalicyjną” PiS-u już widzieliśmy w praktyce, a zawdzięczamy jej to, że „Polska Solidarna” w wykonaniu liberałki Zyty Gilowskiej i rozmodlonego – też liberalnego gospodarzo – bawidamka Marcinkiewicza, zakończyła się oddaniem Platformie władzy z co najmniej dwuletnim wyprzedzeniem.

Tego rodzaju faktyczne lub urojone przegrupowania w ramach politycznej „bieżączki”, dają asumpt do snucia teorii o potrzebie głębszego, ideowego przełomu. W jego ramach miałyby się dokonać zbliżenia różnych osób i środowisk „prosocjalnych” ponad dotychczasowymi tradycjami ideowymi i afiliacjami organizacyjnymi. Niedawno w różnych środowiskach pewnym echem odbiła się deklaracja europosła PiS, Tadeusza Cymańskiego, który skrytykował dominację liberałów w swoim ugrupowaniu, wezwał do powrotu do haseł „solidarnych”, a podobno nawet zadeklarował, że nie wstydziłby się, gdyby za poglądy prospołeczne został nazwany socjalistą. Domorośli stratedzy zaczęli już nawet obliczenia: Cymański i fatamorganowa „socjalna” frakcja PiS-u + „przaśno-betonowe” skrzydło SLD (Napieralski i spółka) + resztki Samoobrony + Radio Maryja + jakieś lewackie grupki, które niezbyt mocno akcentują postulaty obyczajowe = Wielki Front Obrony Przed Liberałami. Marzenia ściętej głowy, w dodatku raczej pustej.

Niejednokrotnie w „Obywatelu” pokazywaliśmy, że gdy porzuci się polityczne etykiety, to podobne poglądy w wielu ważnych sprawach społeczno-gospodarczych głoszą osoby sytuujące się od Sasa do Lasu. Szczególnie w Polsce, gdzie scena polityczna jest całkowicie zaburzona historią ostatnich 5-6 dekad, trudno

o normalność – brak tu zarówno konsekwentnej lewicy, jak i prospołecznej, solidarystycznej prawicy, a nasze „ekstrema” w postaci ugrupowań populistycznych miotają się od lewej do prawej ściany niczym obłąkane (jak Samoobrona czy Polska Partia Pracy). Dlatego też, jeszcze bardziej niż w „normalnych” politycznie krajach, ludzi o poglądach nieliberalnych gospodarczo można spotkać w Polsce niemal w każdym ugrupowaniu. Gdyby nie podziały historyczne oraz oczywiście ambicje personalne, nietrudno wyobrazić sobie porządną socjaldemokrację z Kołodką, Bugajem i Ikonowiczem oraz prospołeczną chadecję z Romaszewskim, Olszewskim i Januszem Wojciechowskim, które wspólnie tworzą prospołeczną koalicję rządową. A z pozycji radykalnie socjalnych krytykują ich, lecz w kluczowych kwestiach po cichu wspierają populiści z partii pod wspólnym kierownictwem Leppera, Ziętka i Gabriela Janowskiego. A Donald Tusk gra w tym czasie w piłkę w Sopocie, wozi kolegom paczki do więzienia i wraz z Jarosławem Kaczyńskim organizuje sympozja pod hasłem „Zaczęło się w Gdańsku, skończyło w Belwederze – blaski i cienie konserwatywnego liberalizmu”.

Taki scenariusz jest jednak zupełnie nierealny. Długo by pisać o przeszkodach personalnych, środowiskowych, historycznych i innych, zresztą oczywistych dla każdej rozgarniętej osoby. Cymański może nie wstydzić się słowa „socjalista”, ale wstydzi się jego elektorat, zaś Radio Maryja czy „Gazeta Polska” nie nagłośnią takiej kandydatury, bo popieranie kogokolwiek z „socjalizmem” na ustach oznaczałoby mentalną wojnę domową wśród słuchaczy i czytelników, nawet jeśli byłby to socjalista „nasz” i „pobożny”. Dlatego nie zaistnieje tego rodzaju sojusz nawet doraźny, mogący dać szansę dużemu elektoratowi socjalnemu na stworzenie siły czy to obronnej wobec obecnej dominacji liberałów, czy w dłuższej perspektywie wręcz ofensywnej, mogącej nie tylko np. uratować KGHM przed prywatyzacją, ale choćby stworzyć silny koncern stoczniowy, zarabiający na produkcji statków tak, jak zarabiają wspierane przez państwo koncerny niemieckie czy japońskie.

A tym bardziej nie zaistnieje podobny sojusz na płaszczyźnie ideowej, nie nastąpi żaden przełom w tej kwestii. Tego rodzaju sojusz nie zaistnieje dlatego, że wspólny wróg i podobnie negatywna ocena jakichś zjawisk to zdecydowanie za mało, aby stworzyć trwałą płaszczyznę współpracy i porozumienia. To banał, ale warto go napisać: potrzebny jest nie wspólny wróg, lecz wspólny pozytywny cel, nie jedność w nienawiści, lecz podobne, choć niekoniecznie identyczne definiowanie lepszej przyszłości i wartości umożliwiających jej stworzenie.

Kiedyś myślałem podobnie, jak dzisiaj czynią to lewicowcy przyklaskujący prawicowemu „socjałowi” Cymańskiemu. Że wróg jest wspólny i że przeciwko niemu warto się zjednoczyć nawet z diabłem. Jesienią roku 1999 współorganizowałem nawet w Wałbrzychu tzw. Kongres Opozycji Antysystemowej, który zgromadził kilkadziesiąt osób z całej Polski, z przeróżnych mikro-środków, od anarchistów i trockistów, po neopogan-nacjonalistów i monarchistów-konserwatystów, wszystko to wsparte silną reprezentacją radykalnych ekologów. Na łamach gazetek tych środowisk publikowałem teksty o „sojuszu ekstremów” i o jedności niezbędnej w obliczu wspólnego wroga. Bo oczywiście mieliśmy wspólnego wroga: neoliberalną globalizację, NATO kilka miesięcy wcześniej bombardujące Serbię, planowany akces do Unii Europejskiej, którą w bezbrzeżnej naiwności 23-latek uważałem wówczas za twór znacznie gorszy niż polityczna mafia rodzimego chowu. Oczywiście nic z tego nie wyszło, zarówno dlatego, że zero pomnożone przez zero nadal daje zero, jak i właśnie wskutek tego, że wspólny wróg to za mało.

Po latach uważam, że była to inicjatywa całkowicie chybiona i niepotrzebna. I to bynajmniej nie dlatego, że wskutek udziału w niej stałem się bohaterem kilkadziesiąciu, jeśli nie kilkuset donosów (z „Gazetą Wyborczą” na czele), bo przecież „współpracowałem z faszystami”, lecz z uwagi na to, że większość uczestników owego spotkania nie wyciągnęła z niego żadnych sensownych wniosków i jeśli nie stali się zwykłymi

apolitycznymi drobnomieszczanami, to zazwyczaj, poza nielicznymi przypadkami, pogrążali się coraz bardziej w swych ideologicznych szajbach, zamiast się z nich choć częściowo wyzwolić. Nie wstydziłem się wówczas spotkać z tymi ludźmi (bo tylko faktyczni mentalni faszyści, nawet jeśli zwący się anarchistami czy wolnomyślicielami, uważają, że z kimś nie należy w ogóle rozmawiać), tak jak nie wstydzę się, że jakiś Domosławski wycierał sobie mną głowę w weekendowym wydaniu organu orędowników „planu Balcerowicza” (wstydziłbym się raczej, gdyby mnie ów organ chwalił za cokolwiek).

Natomiast wstydzę się swojej naiwnej wiary w to, że chciałem cokolwiek zbudować z ludźmi, z którymi niewiele mnie łączyło. Tamten „sojusz” nie miał sensu właśnie dlatego, że rozmawialiśmy o wspólnym wrogu, zamiast zapytać się nawzajem o to, jak wyobrażamy sobie wspólny ład po – oczywiście czysto hipotetycznym, bo aż tak oderwani od rzeczywistości nie byliśmy – owego wroga pokonaniu. Albo chociaż o to, dlaczego nie podobają nam się wspomniane bombardowania Serbii przez NATO – czy dlatego, że to zwykłe barbarzyństwo i militarystyczna hucpa, czy z powodu umiłowania „męża stanu” Miloševicia, czy może z uwagi na to, że operacja na Bałkanach była nie w smak rosyjskiej ambasadzie w Polsce i jej tutejszym podwykonawcom. Kto pyta – nie błądzi. Kto nie pyta – traci czas.

Zrozumienie tej prostej prawdy – że wspólny wróg to za mało – zajęło mi jeszcze kilka lat. W duchu takiego „porozumienia ponad podziałami” utworzyliśmy „Obywatela”, który początkowo był właśnie zbieraniną – tyle że personalną, nie organizacyjną – wszelkich możliwych ekscentryków ideowych, błąkających się po obrzeżach przeróżnych środowisk. Choć tym razem większy nacisk położyliśmy na podobieństwa – czy to ideowe, czy „techniczne” (jak np. różne postulaty ekologiczne) – to nadal dominowało nie to, co chcielibyśmy osiągnąć, lecz krytyka tego, czego nie lubimy. Fikcję „wspólnej sprawy” spod znaku niechęci wobec neoliberalizmu, niszczenia środowiska i

oligarchizacji życia publicznego musieliśmy jednak porzucić, gdy okazało się, że kilku naszym ex-kolegom przeszkadza nie tyle dziki kapitalizm, co upadek „starego dobrego” realnego socjalizmu, że lekarstwa na rządy oligarchów upatrują nie w przywróceniu demokracji, lecz w (re)sentymentalnych westchnieniach za „mężami stanu” pokroju Gomułki, Jaruzelskiego i Miloševicia, że zły nie jest współczesny system finansowy, lecz „głupota ludzi, którzy biorą kredyty”. I tak dalej. Kto nie pyta, ten błądzi...

Wróg mojego wroga nie jest moim przyjacielem. Wspólnota wrogości to zdecydowanie za mało, a sojusze „ekstremów” to w najlepszym przypadku sojusze chwilowe, taktyczne, czasem potrzebne dla rozwiązania konkretnego problemu, nic więcej. Takie stanowisko nie oznacza sekciarstwa i wiary w jedyną słuszną drogę. Nadal uważam, że etykiety „lewicy” i „prawicy” więcej zaciemniają niż rozjaśniają, zwłaszcza w polskich realiach, a w przypadku rozmaitych „ideowców” i „ortodoksów” zazwyczaj maskują niejasne interesy i powiązania lub przerośnięte ego, jeśli nie poważniejsze problemy natury psychologicznej. Nadal sądzę, że ważniejsze są faktyczne postawy i poczynania niż slogany i deklaracje. Nadal wydaje mi się, że człowiek pewny swoich przekonań nie powinien bać się ich konfrontować z racjami innych ludzi, a takich konfrontacji boi się jedynie smutny, zakompleksiony tchórz i miernota, nawet jeśli pozujący na rewolucyjnego herosa lub elitarnego twardziela. Nadal podtrzymuję pogląd, że należy rozmawiać ponad podziałami i że ideowo-polityczne „dziewictwo” jest na rękę wyłącznie specjalistom od wcielania w życie zasady „dziel i rządź”. Nadal mam w dupie donosicieli rozliczających mnie z opublikowania tekstu „faszysty” lub „komunisty” – jeśli „faszysta” lub „komunista” mają coś mądrego i inspirującego do powiedzenia, to będę to publikował, wbrew wszelkim paniom Dulskim, szczególnie tym, które wolnością słowa i pluralizmem wycierają sobie usta, lecz trzęsą portkami, aby nie naruszyć jakiegoś tabu własnego środowiska.

Ale dziś pytam przede wszystkim nie o to, przeciwko komu i czemu występuje dana osoba lub grupa. Dziś interesuje mnie, co proponuje w zamian, do jakich wartości się odwołuje. Dlatego moim sojusznikiem będzie raczej umiarkowany chadek, który uznaje, że społeczeństwo ma prawo stanowić o sobie i wybrać do parlamentu zwolenników podwyższenia podatków, niż radykalny socjalista-etatysta, który przekonuje, że w sumie za Lenina i Trockiego nie było tak źle, a demokracja nie jest przecież dla „wrogów ludu”. Dlatego bliższy jest mi taki członek „rozmemłanych” Zielonych 2004, który potrafi odłożyć na bok – jako kwestię drugorzędną – przekonanie o konieczności zagwarantowania gejom prawa do zawierania małżeństw, lecz w umiarkowany sposób promuje rozwiązania ekologiczne, niż radykał, który sugeruje, że problemy ekologiczne rozwiązałaby eugenika. Dlatego wolę kogoś, kto był przez całe życie w PZPR, lecz wspierał samorząd pracowniczy w 1956 r. i „struktury poziome” w 1980 r., niż styropianowego etosiarza, który w podziemiu wydawał broszurki Hayeka i Friedmana a po wyborach 1989 uznał, że robotnicy głosujący na niego to roszczeniowe bydlę spod znaku homo sovieticus, bo nie potrafili zostać biznesmenami zanim zlikwidowano ich zakład pracy. I dlatego wolę będącego moim przeciwnieństwem prawicowego, ultrakatolickiego i w ogóle „kołtuńskiego” związkowca „Solidarności” z Podkarpacia, który uważa, że prywatne nie musi być lepsze niż państwowe i że rynek nie załatwia wszystkich problemów, niż „lewicowego”, bliskiego mi w sensie gustów kulturowych faceta z warszawki, który kiedyś był w PPS-ie, a dziś na łamach „Wyborczej” czy „Polityki” szydzi z „socjału”, bo to przecież passé, to nie w stylu Zapatero i Blaira. Dlatego – choć nie popieram aborcji – wolę feministkę, która angażuje swój czas i energię w inicjatywy tworzące klimat kulturowy bardziej przyjazny matkom i ich dzieciom, niż prawicowych mędrków, którzy na zmianę „bronią życia poczętego” i chcieliby kobiety wygnać do kuchni, bo tak twierdzi ich guru Korwin-Mikke. Dlatego z dwojga złego wolę karierowiczów z „Krytyki Politycznej”, którzy lansują się w gazecie Michnika, ale przynajmniej werbalnie optują za gospodarczym „modelem

skandynawskim", niż „niezłomnych” radykałów, którzy temuż Michnikowi zarzucają nie wspieranie Balcerowicza, lecz święstwa w wykonaniu przyrodniego brata lub matki, a głosują na PO w nadziei na obniżenie „złodziejskich i socjalistycznych” podatków.

Okazjonalne sojusze różnych, nierzadko znacząco odmiennych środowisk, będą się zdarzały – i bardzo dobrze, bo w rozwiązaniu konkretnego problemu jest to postawa sensowniejsza niż sekciarska „czystość ideologiczna”. Natomiast jeśli miałyby się zdarzyć poważniejsze, bardziej trwałe, ideowe przegrupowania i przełomy, to nie w oparciu o krytykę czegokolwiek, np. liberalizmu gospodarczego, lecz na bazie spójnej i wspólnej wizji alternatywnej. Tadeusz Cymański i jemu podobni nie staną się socjalistami wskutek deklaracji, że państwo powinno zwiększyć wydatki socjalne i mniej prywatyzować, bo to jeszcze nie jest socjalizm. Socjalistą stałby się Cymański, gdyby uznał, że ideałem, do którego należy dążyć m.in. przy pomocy polityki socjalnej, jest egalitaryzm społeczny, a w sferze gospodarczej – uznanie, że prywatna własność środków produkcji nie jest jedyną skuteczną, że to nie doraźny zysk jest miarą rozwoju ekonomicznego, że gospodarka ma służyć potrzebom ogólnospołecznym. Ale nawet gdyby Cymański stał się takim właśnie umiarkowanym socjalistą, to wcale nie znaczy, że wartościowymi dlań partnerami są tacy „socjaliści”, którzy tęsknią za gomułkowskim zamordyzmem lub wielbią Che Guevarę, a papierkiem lakmusowym lewicowości czynią nienawiść wobec Kościoła i drobnych kupców albo uwielbienie dla mniejszości seksualnych i inżynierii społecznej.

Myśląc o sojuszach i przełomach ideowych, powinniśmy na margines debaty odłożyć niechęć wobec liberalizmu, Balcerowicza, prywatyzacji, Michnika itd., itp. Powinniśmy natomiast pytać, co nas łączy i jakie mamy punkty odniesienia. Czy jesteśmy za autentyczną demokracją i samorządnością obywateli, czy też po prostu chcemy odsunąć liberałów od

władzy przy użyciu dowolnych środków, nawet za cenę zamordyzmu. Czy jesteśmy za wolnością słowa dla wszystkich, również dla naszych wrogów, czy jedynie domagamy się tej wolności dziś, gdy jesteśmy słabi, a gdybyśmy byli silni, to zamknęlibyśmy cenzurą usta naszym krytykom. Co nam najbardziej przeszkadza w Unii Europejskiej – nadmierna biurokracja dla zwykłych ludzi i liberalizowanie reguł dla wielkich koncernów czy jej „bezbożność” i zmniejszanie zakresu suwerenności państw członkowskich (dzięki czemu w Polsce np. uratowano Dolinę Rospudy przed jakże suwerennym zabetonowaniem). Jak wyobrażamy sobie silne państwo – jak niezależną na arenie międzynarodowej Szwajcarię, która pyta obywateli o zdanie w tysiącach spraw i wciela ich wolę w życie, czy jak Wielką Brytanię z czasów Thatcher, która za pomocą państwowej policji krwawo tłumiła strajki związkowych górniczych „warchołów”, żeby swoim kolesiom z firm naftowych i gazowych zrobić miejsce na rynku energetycznym. Jaki jest nasz ideał sprawiedliwego i egalitarnego społeczeństwa – taki, jak demokratyczna Finlandia i Szwecja, czy w postaci tęsknot za „polską drogą do socjalizmu” spod znaku Gomułki i Moczara. I jeszcze wiele takich pytań powinniśmy zadać sobie i potencjalnym sojusznikom zanim staniemy się faktycznymi sojusznikami.

Oczywiście można tych pytań nie zadawać, łudząc się wspólnotą celu z ludźmi złączonymi z nami krytyką czegoś lub kogoś i wierząc, że droga na skróty zaprowadzi nas w sensowne miejsce. Nie zaprowadzi – w ten sposób trafimy w miejsce, w którym można jedynie szukać straconego czasu.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)